



## Mirosław Derecki W PARYŻU ROKU 1939.

### Z IRENĄ LORENTOWICZ ROZMAWIA MIROSŁAW DERECKI

MIROSŁAW DERECKI:- Kiedy Europa wchodziła w pełen napięcia, dramatyczny okres „przed burzą”, mieszkała Pani już od kilku lat w Paryżu, wchodząc w skład polskiej kolonii artystycznej. Obracała się Pani w kręgach intelektualnych francuskich i w polskich sferach dyplomatycznych. Jaka atmosfera panowała w tych środowiskach wiosną i latem 1939 r.? Jak oceniano z paryskiej perspektywy groźbę nadciągającej wojny?

IRENA LORENTOWICZ: - Od szeregu miesięcy w Paryżu panowała atmosfera niepokoju i zdenerwowania. Nikt nie wierzył, że wojny będzie można uniknąć. Już od wiosny miasto było zaciemniane, robiono próbne alarmy. W ciągu lata stale dochodziły do mojej pracowni malarskiej na Montparnasse odgłosy podziemnego kucia. Budowano schrony przeciwlotnicze. Francuzi bali się wojny. Byli nie tylko pełni niepokoju, ale co gorsze - chęci pójścia na ustępstwa.

Do Paryża przyjechałam jesienią 1935 r. żeby przygotować scenografię do „Harnasiów” Karola Szymanowskiego w Operze Paryskiej. Choreografia była dziełem Sergiusza Lifara, a inscenizacja powstawała pod przemożnym, choć nieoficjalnym wpływem Leona Schillera. Zaprzyjaźniłam się w tamtym okresie z Janem Lechoniem, ówczesnym attaché kulturalnym ambasady polskiej w Paryżu. To on pierwszy poznawał mnie z miastem nad Sekwaną, z jego osobliwościami i z jego środowiskiem artystycznym. Często bywałam w naszej ambasadzie. Jednym z pracowników był Zygmunt Klingsland, osiadły wraz z żoną Stefanią od szeregu lat w Paryżu. Pełnił funkcję doradcy polityczno-kulturalnego. Przez salon Klingslandów w pobliżu Etoile przewijało się mnóstwo osób ze świata artystycznego: Jules Romain, André Maurois, Francis Carco, André Therive. Bywali tam również znany poeta i krytyk sztuki André Salmon z żoną, Chagall, Marcoussis. Z Salmonami bardzo się później zaprzyjaźniłam podczas jednej z artystycznych wypraw po Paryżu razem z Lechoniem i malarzem Romanem Kramsztykiem, odwiedziliśmy Olgę Boznańską. To chyba Lechoń poznał mnie z jedną z najciekawszych postaci Paryża, muzą secesji, Misią Sert. No a poza tym żyło się stale w kręgu polskich artystów przyjeżdżających do Paryża albo tutaj osiadłych. Spotykałam się z

Augustem Zamoyskim, Piotrem Potworowskim, Marią Kuncewiczową, Arturem Rubinsteinem...

M. DERECKI: - Premiera „Harnasiów” w kwietniu 1936 r. stała się wielkim sukcesem artystycznym; także i Pani sukcesem scenograficznym.

I. LORENTOWICZ: - Tak. I właśnie po premierze „Harnasiów” otrzymałam stypendium rządu francuskiego na studia nad teatrem średniowiecznym u profesora Gustave Cohena na Sorbonie. Należałam do tzw. „Theofiliens”; przygotowywaliśmy przedstawienia na Parvis Notre Dame na podwyższeniu przed słynną katedrą, gdzie już w średniowieczu odgrywano misteria.

Mieszkałam na czwartym piętrze domu przy spokojnej ulicy Froidevaux przylegającej do cmentarza Montparnasse. Dużo malowałam, robiłam też scenografię. W 1937 r. zaprojektowałam dekoracje dla występującego w Paryżu Baletu Polskiego pod kierownictwem Bronisławy Niżyńskiej, w Operze Komicznej szedł „Król mimo woli” Chabviera w mojej scenografii. W marcu 1938 r. została otwarta w Galerie d'Ellysée moja wystawa malarska; wydano też katalog ze wstępem pióra André Salmona. Byłam więc już na dobre wrośnięta w Paryż zarówno pod względem artystycznym jak i towarzyskim, kiedy zaczęły zewsząd, również w listach z Polski, nadciągać złe wieści o zbliżającej się katastrofie politycznej.

M. DERECKI: - Bywała pani często w polskiej ambasadzie, znała Pani osobiście ambasadora Łukasiewicza. Jakie wrażenia wynosiła Pani z przyjęć i odwiedzin w naszej placówce dyplomatycznej?

I. LORENTOWICZ: - Na pozór wszystko odbywało się normalnie. Łukasiewicz starał się być miły i czarujący. Ale było coś w atmosferze ambasady, co nie pozwalało nam wierzyć, że wojna się odwlecze. Oczywiście nie mieliśmy pojęcia jakie to rozmowy odbywały się właśnie w ambasadzie w okresie „przed burzą”, bo to były rzeczy ściśle tajne. Natomiast chwilami zaskakiwał nas optymizm, czy też może brak rozeznania w następujących szybko wypadkach – płynące do nas w listach z kraju.

M. DERECKI: - Stałą więź z krajem utrzymywała Pani przede wszystkim dzięki regularnej korespondencji z ojcem, Janem Lorentowiczem, znanym krytykiem literackim i doskonałym znawcą teatru. W jego listach musiała odbijać się opinia polskich sfer artystycznych i intelektualnych na temat nadciągającej wojny...

I. LORENTOWICZ: - Oczywiście. Na przykład w jednym z listów z lipca 1939 r., ojciec dużo pisał o swoim wyjeździe do Wilna, gdzie udał się jako delegat Polskiej Akademii Literatury, zachwycił się pięknem jeziora Narocz, które wtedy po raz pierwszy oglądał, jednym słowem - wydawał się całkowicie oddychać atmosferą wakacyjną. Pisał, że rozumie mój niepokój co do wojny, ale uważa, że jest on przedczesny. *My tu wszyscy żyjemy w*

*przekonaniu - stwierdzał - że sprawa o Gdańsk zwlecze się do przyszłego roku, bo Niemcy jeszcze nie są gotowi (podobno) do wojny. Może starał się mnie w ten sposób uspokoić? Dodać otuchy? W każdym razie wiem na pewno, że szykował się do wyjazdu wraz z całą Polską Akademią Literatury na uroczystości ku czci Słowackiego w Krzemieńcu. Wyjazd miał nastąpić 3 września i ojciec, wybierając się na razie do Ciechocinka, postanowił przygotowywać tam przemówienie, które miał wygłosić w Krzemieńcu.*

M. DERECKI: - Pani też zdążyła jeszcze wyjechać na swoje ostatnie, przedwojenne wakacje...

I. LORENTOWICZ: - Sierpniowe lato spędzałam w Bretanii, w miejscowości Pouldu, pełnej tradycji malarskiej. Tutaj i w niedalekim Doëlan mieszkali Gauguin, Tadeusz Makowski oraz Władysław Ślewiński. W jednym z domów w Doëlan odkryłam obrazy Makowskiego, Ślewińskiego i piękny szkic Stanisława Wyspiańskiego. Tamtego lata nie było jednak w Pouldu beztroskiej, artystycznej atmosfery. Wioska była opustoszała, Francuzi nie przyjechali na wakacje, na plener, bo bali się, że może ich na prowincji zaskoczyć wojna. Pisałam rozpaczliwe listy do ojca. W końcu nie wytrzymałam i w drugiej połowie sierpnia wróciłam do Paryża. Zastałam atmosferę coraz bardziej wzbierającego niepokoju, a wśród listów z Polski czekał na mnie także list z Kazimierza, od Marii Kuncewiczowej. Pisała między innymi: *Piękne lato kończy się. Dzieci krzyczą w ogrodzie wesoło, zrywają ostatnie gruszki. Może naprawdę ostatnie, może już zbliża się wojna.*

Z Kuncewiczową poznałyśmy się w 1927 r. w Kazimierzu. Byłam na plenerze malarskim prowadzonym przez Tadeusza Pruszkowskiego i to właśnie ja oprowadzałam Kuncewiczów po Kazimierzu, do którego przyjechali na wycieczkę. Wywiązała się z tego wieloletnia przyjaźń, która przetrwała do dzisiaj. Kuncewiczowie kupili potem w Kazimierzu domek i kawałek ziemi. I z tego „osiedlenia” narodziły się m. in. „Dwa księżycy”. Przed wojną postawili na swojej działce wygodną willę zaprojektowaną, przez Karola Sicińskiego. Ostatni raz przed wojną widziałam Marię Kucewiczową w 1938 r., kiedy przyjechała do Paryża. Chyba nawet zatrzymała się w mojej pracowni. Do następnego spotkania doszło pod koniec października 1939 r. Byliśmy już wtedy wygnańcami z własnego kraju, emigracją wojenną.

M. DERECKI: - Jak przeżyła Pani wiadomość o wybuchu wojny?

I. LORENTOWICZ: - To było w mieszkaniu Klingslandów. W ostatnich dniach sierpnia zbierało się tam ściśle grono znajomych przy radiodbiorniku. Dyskutowaliśmy po całych nocach. Lechoń chodził roztrzęsiony, milczący. Pierwszego września ugodził w nas głos spikera oznajmiający, że o piątej rano Niemcy napadły na Polskę. Trudno opisać nasze ówczesne odczucia. Tak samo jak niełatwo wyodrębnić i uporządkować zdarzenia z owego okresu, daty i fakty. W tym zamęcie szalonym jaki później nastąpił, w tej rozpacz, wszystko się jakby ze sobą łączyło, zrastało. Pierwszego września doszedł do mnie list od ojca wysłany

przed pięcioma dniami z Ciechocinka: (...) *śpieszę Ci donieść, że wczoraj nastąpiło odprężenie pewne, tak iż jest nadzieja jeżeli nie na pokój, to na przewleczenie sprawy. (...) Dziś są wiadomości o propozycjach Hitlera przesłanych Chamberlainowi. Zobaczymy, co z tego wyniknie. (...).*

Potem przyszły dalsze noce spędzane u Klingslandów przy aparacie radiowym, słuchanie wiadomości z Warszawy, wczytywanie się w paryskie gazety, oficjalny komunikat internowaniu polskiego rządu w Rumunii, ostatnie radiowe przemówienie prezydenta Starzyńskiego i wreszcie to nabożeństwo w polskim kościele w Paryżu, podczas którego młodzi ludzie o wojskowej postawie, dopiero co przybyli z Polski, śpiewali płacząc.

M. DERECKI : - 24 września przyjechał do Paryża Władysław Sikorski zatrzymując się w Hôtel du Danube, gdzie zazwyczaj mieszkał podczas swoich przyjazdów do Francji. 27 września pojawił się w ambasadzie polskiej - Juliusz Łukasiewicz powierzył mu dowództwo sił polskich we Francji, a 30 września Sikorski tworzył już jako premier nowy rząd...

I. LORENTOWICZ: - Właśnie w tych dniach zostałam zaproszona do hotelu du Danube na specjalny obiad. Hôtel du Danube mieścił się przy jednej z lewobrzeżnych uliczek Sekwany odchodzących od rue Bonaparte. Samo centrum Paryża, część miasta rozpościerająca się między Sekwaną a Boulevard Saint Germain. Cicho tu i spokojnie, domy są niewysokie, dwu- lub trzypiętrowe. Właśnie w jednym z takich domów, drugorzędny hotel, zawiązywał się pierwszy polski rząd emigracyjny. Pamiętam dobrze ów obiad, podczas którego dyskutowano nad rozdziałem stanowisk, urzędów i ministerstw.

Wtedy właśnie profesor Stanisław Stroński, wicepremier a zarazem minister informacji, zaproponował mi pracę w organizującym się właśnie Biurze Informacji i Dokumentacji. Stroński znał moje korespondencje z Paryża zamieszczane w ciągu ostatnich lat w prasie warszawskiej, znał mojego ojca, no a poza tym wiedział, że będąc zdomowiona w Paryżu i znając dobrze język, mogę okazać się bardzo przydatna.

M. DERECKI: - Z artystki przekształciła się więc Pani nagle w urzędniczkę?

I. LORENTOWICZ: - Częściowo - tak. Byłam czymś pośrednim między sekretarką Strońskiego, spełniając również polecenia Mariana Seydy i Stanisława Strzetelskiego, a... recepcjonistką i informatorką „co, gdzie i jak” w Paryżu. No a poza tym byłam jednym z łączników pomiędzy sferami rządowymi a tutejszym środowiskiem artystycznym i intelektualnym. Trzeba było też załatwiać sprawy polskiego środowiska artystycznego, które powiększało się coraz bardziej wraz z napływem kolejnych uciekinierów z Polski. Antoni Słonimski z żoną przyjechali do Paryża już 21 września, zaraz po nich Tuwimowie, Wierzyńscy i inni. Korzystali początkowo z mieszkań i pomocy finansowej znajomych, wkrótce otrzymali od rządu polskiego stypendia. Część z nich zaczęła pracować w różnych instytucjach kulturalnych. Na przykład Słonimski związał się z Polskim Radio. Uchodźcy

spotykali się zazwyczaj w Café de la Régence albo w Café de la Paix. Właśnie na tarasie tej ostatniej kawiarni uświadomiłam sobie nagle z całą jasnością, patrząc na polskich „uciekierów”, że i ja już należę do wojennej emigracji.

W czasie tych spotkań kawiarnianych zaczęto mówić o założeniu pisma literackiego, o wystawach malarskich, o potrzebie skompletowania polskiego zespołu teatralnego spośród przybyłych aktorów.

M. DERECKI: - Tak więc, zaczynało się dość szybko tworzyć specyficzne, uchodźcze życie kulturalno-artystyczne?

I. LORENTOWICZ: - Z ramienia Biura Informacji i Dokumentacji urządziliśmy na Polach Elizejskich wielką wystawę ukazującą zniszczenia wojenne w Polsce oraz okrucieństwa niemieckie w podbitym kraju. Jako materiał posłużyły nam zdjęcia, informacje i sprawozdania przetrucane z Polski. Powstała grupa teatralna pod dyrekcją Ziembioskiego. Wystawiono „Przepióreczkę”, robiłam do tego scenografię. Główną rolę kobiecą zagrała Irena Eichlerówna, a reżyserował - jeżeli dobrze pamiętam - Antoni Cwojdzński.

Niestety, nie byłam na poranku artystycznym poświęconym Polsce, zorganizowanym przez zespół Comédie Française gdzieś w połowie listopada. Recytowano tam polskie utwory, m. in. fragment „Nocy listopadowej” Wyspiańskiego, grano Chopina, ale najbardziej wstrząsające wrażenie sprawił odczytany na zakończenie „Dziennik lotnika - obrońcy Warszawy”. Była to proza napisana przez Marię Kuncewiczową, która właśnie niedawno dotarła wraz z mężem do Paryża i początkowo zatrzymała się w mojej pracowni na rue Froidevaux. „Dziennik lotnika” to pierwszy utwór napisany i opublikowany przez Kuncewiczową we Francji. Oparty był na wspomnieniach kapitana Iżyckiego, lotnika, który ostatnim nadającym się do użycia samolotem, wyleciał ze specjalnym zadaniem z oblężonej Warszawy, tuż przed kapitulacją miasta.

M. DERECKI: - Jak wiadomo rząd polski przeniósł się w ostatnich miesiącach 1939 r. do Angers.

I. LORENTOWICZ: - Niektóre jednak ministerstwa i urzędy pozostały jeszcze długi czas w Paryżu. Wojsko nadal zajmowało Hôtel Regna a nasze Biuro Informacji i Dokumentacji przeniosło się tylko na inną ulicę: rue Bassano.

M. DERECKI: - A tymczasem trwała „drôle de guerre”? Dziwna wojna? Wojna straconych okazji?

I. LORENTOWICZ:- To nawet czasem w pewnych środowiskach wyglądało na zabawę w wojnę. Przypominam sobie, że żona André Salmona podejmowała gości kolacjami w łazience bez okna, tłumacząc, że to ze względu na obowiązek zaciemniania. Colette nigdzie nie ruszała się bez maski przeciwgazowej...

W Angers znalazłam się stosunkowo późno, wezwana pilnym poleceniem Strońskiego. Ale wkrótce i ja zamieniłam się w uciekinierkę. Francja padała pod naporem niemieckich wojsk. Pociągiem wiozącym pracowników rządowych instytucji - jechali tym pociągiem również Kuncewiczowie - dotarłam do Lourdes. Stąd miałam przedzierać się przez Pireneje do Hiszpanii i Portugalii, a następnie płynąć do Stanów Zjednoczonych, gdzie przymieszkałam dwadzieścia lat.

M. DERECKI: - Po wojnie zjawili się w Stanach również Maria i Jarzy Kuncewiczowie...

I. LORENTOWICZ: - Tak. A później Kuncewiczowa pierwsza, w 1958 r. wyruszyła do Polski i do Kazimierza. Ja odwiedziłam kraj w rok później. Wtedy postanowiłam nieodwołalnie, że wracam. Już wcześniej zachęcał mnie do tego Lechoń.

Arnold Szyfman, ostatni z żyjących przyjaciół ojca, dał mi samochód. Pojechałam do Kazimierza. To było inne miasto!

Ile razy wejść na kazimierski Rynek to zaraz serce mi się kraje jak sobie przypomnę ten cały świat, który tam się kiedyś kłębił, którego już nie ma i nie będzie...

M. DERECKI: - Jednak przyjeżdża Pani stale do tego nowego Kazimierza...

I. LORENTOWICZ: - Bo wróciłam z Ameryki nie tylko do Kazimierza mojej młodości. Wróciłam do wszystkiego.

Pierwodruk: „Kamena”, 1977, nr 21, s. 8-9.